

PRZEWODNIK KATOLICKI



Redaktor:

X. Stanisław Ciążyński

w Poznaniu.

Telefon Redakcji: 2678.

Pismo dla Rodzin, Bractw i Stowarzyszeń katolickich.

Bezpłatne dodatki:

„SŁOWO BOŻE“ i „OPIEKUN DZIATEK“.

Adres dla wszelkich przesyłek:

„Przewodnik Katolicki“

Poznań, Aleje Marcinkowskiego 22.

Telefon Administracji: 3613.

Przedpłata kwartalna za „Przewodnik Kat.“ w ekspedycji i w agencjach 100 m., na pocście 139,20 m. Wysyłany z ekspedycji pod opaską 150,00 mk. „Przewodnik“ zapisany jest na pocście jako „Przewodnik Katol.“ Poznań. — Cena ogłoszeń 40,00 mk. od wiersza drobnego.

Nr. 1.

Poznań, dnia 1 stycznia 1922 roku.

Rok XXVIII.

Z BOGIEM.

Znowu zawitał rok nowy. Co nam przyniesie? Kto posiada wiarę żywą, ów najświętszy i najcenniejszy skarb duchowy nie tylko pojedynczych ludzi, ale i całych narodów, ten spokojnie spogląda w przyszłość zakrytą i niewidzialną. Ufa Bogu miłosiernemu i kornie poddaje się świętemu Jego wyrokowi pamiętając o słowach apostoła narodów, że tym, którzy Boga miłują wszystko wychodzi na dobre. Niestety tę wiarę, która dźwignią i pociechą jest człowieka na tym leż padole, zli ludzie usiłują w nas osłabić i zniszczyć zupełnie. Sądząc po tem, jak się stary rok kończy, spodziewać się możemy, że i w nowym nie brak będzie wysiłków ze strony wrogów naszej wiary świętej, aby wyrwać z dusz ludzkich zaród cnoty chrześcijańskiej, podkopać powagę i zaufanie, jakim się dotąd wśród społeczeństwa cieszył Kościół katolicki, a nawet rozbić tę łódź Piotrową, w której jak ojcowie nasi tak i my żeglujemy ku dalekim brze-



Zygmunt August i Barbara.

Mal. Gersona.

Żłudne widzenie Barbary wywołane przed królem przez mistrza Twardowskiego.

gom wieczności. Wszystko, co przeciwko nam jest, podało sobie ręce, aby rozprzeżenie wnieść w katolickie społeczeństwo i sprowadzić je na manowce i protestantyzm syjący hojnie dolarami, i socjalizm międzynarodowy i komunizm zachłanny i cięły. Właściwym ideałem jest niewieści kościół narodowy. Groźne i złowrogie chmury kłębią się nad katolickim społeczeństwem.

Ale nie trwożmy się. Ufajmy Panu Bogu. Kochajmy Boga a w Bogu kochajmy swoją wiarę i swój naród a da Bóg, że stępią się te ostre strzały wrogów, zanim nas dosięgną, a przyszłość przyniesie zwycięstwo chrześcijańskich i katolickich ideałów nad zwodniczymi hasłami bezprawia, gwałcącego wszelkie poczucie sprawiedliwości. Bogu oddajmy się w opiekę.

A kto się w opiekę podał Panu swemu i całym sercem szczerze ufa Jemu, śmieie rzec może mam obrońcę Boga, nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga.

Jego Eminencji Księdzu Kardynałowi Prymasowi, Najprzewielebniejszemu Księżom Biskupom, Wielebnemu Duchowieństwu, wszystkim Czytelnikom i Przyjaciółom pisma naszego składamy w Nowym Roku życzenia obfitych łask Bożych. »Dosiego Roku!«

CZ 2665/1822/1-52

NASZE „JA“.

Cóż to jest to nasze „ja“? Dlaczego mówimy „ja“? Piszę, „ja“ czytam, „moje“ oczy, boli „mnie“, żal „mi“ i t. d. Cóż to jest to „ja“ i co właściwie w sobie tak nazywamy? Czy to jest ciało nasze, jako jedna całość? Nie. Ono wprawdzie do tego „ja“ należy i z niem się ściśle łączy, ale niem nie jest. Bo czy mówi kto: „Ciało moje było w kościele“? albo nogi moje były w mieście? — „ręce pracowały“? Nie, każdy mówi: „ja byłem w kościele, ja byłem w mieście, ja pracowałem.“ A chociażby powiedział: „Nogi niosły ciało do kościoła, ręce pracowały“ — to kto, pytam, kazał nogom iść a rękom pracować? „Ja kazałem“ — musi każdy odpowiedzieć. „Jaki ja, co za ja“? — „Wola moja, chęć moja, dusza moja“ — musi brzmieć odpowiedź. I oto jesteśmy u źródła naszego ja. Tak, jest niem dusza nasza; a więc coś więcej, niż samo tylko ciało; coś zupełnie innego, niż ciało; bo naszym „ja“ jest świadomość nasza, samowiedza nasza czyli dusza nasza, mająca świadomość istnienia.

Ta świadomość, to nasze „ja“, jest jednym z najsilniejszych dowodów na istnienie duszy naszej, oraz na jedność, niezmienność i duchowość tejże duszy. Bo „niema nic bardziej niepojętego — powiada francuski myśliciel Pascal — jak twierdzić, że materja czyli ciało, zna siebie same; i niepodobna nam jest poznać, w jaki sposób materja znaćby się mogła.“ Jest to poprostu niemożliwe. I dlatego znowu myśliciel niemiecki Du Bois-Reymond, nazywa samowiedzę wielką zagadką, której nauka nie umie i nigdy nie będzie umiała rozwiązać i wyjaśnić.

Prawda, że u zwierząt jest także pewien rodzaj świadomości, która polega na poznawaniu zmysłowym, t. j. na odczuwaniu różnych stanów wewnętrznych, jak bólu, głodu, zmęczenia i podobnych; albo też na odbieraniu wrażeń ze świata zewnętrznego, jak światła, ciepła, głosu i t. d. Ale na tem odczuwaniu czysto zmysłowym wrażeń zewnętrznych i stanów wewnętrznych kończy się cała świadomość zwierzęcia.

Jaka natomiast inna i o całe niebo wyższa jest świadomość człowieka! Człowiek nie tylko odczuwa jak zwierzę, nie tylko widzi przedmioty i widoki rozmaite, nie tylko słyszy głosy i t. d., ale zarazem zdaje sobie sprawę z tego, skąd one pochodzą, dlaczego i jak one istnieją, w jakim stosunku do siebie stoja, w jakiej zależności są jedne od drugich. I właśnie wskutek tej dokładnej i przyczynowej znajomości wszystkiego człowiek staje się panem przyrody i otaczającego go świata, bo znając siły w nim ukryte i prawa nim rządzące, zaprzaga je do swej służby, opanowuje je dla siebie wyzyskuje i im rozkazuje — słowem króluje.

Ale świadomość człowieka nie ogranicza się tylko do przedmiotów zewnętrznych i widzialnych, ale — co jest najdziwniejsze — czyni przedmiotem swych rozmyślań, siebie samą; cofa się niejako w głąb siebie samej, swego wnętrza i zastanawia się nad sobą, nad swojemi myślami, wrażeniami, uczuciami, pragnieniami, wspomnieniami, robi rachunek sumienia ze swych własnych wewnętrznych przeżyć i widzi, że to wszystko wychodziło z jednego i tego samego źródła, że to wszystko obracało się jak około osi, w okół jednego punktu środkowego, trwałego, niezmiennego, a tem źródłem i tym punktem centralnym wszystkich przeżyć duchowych, to jego „ja.“ I dlatego człowiek mówi: „Ja chciałem, ja myślałem, ja się smucę, ja pragnę.“

A nieraz, gdy człowiek bardzo się zamyśli, gdy dusza jego zatopi się głęboko w swoim „ja“, w swoich myślach, troskach, wspomnieniach i zamiarach, wtenczas nie wie, co się naokoło dzieje; zapomina o wszystkim; o ciele i o świecie całym — to wszystko jakby dla niej wtenczas nie istniało. Choć oczy otwarte, nie widzą; choć ktoś przemawia, nie słyszą. Człowiek nie wie, gdzie jest, nie wie, dokąd idzie, ani ile czasu upłynęło. Dusza zamknęła się w sobie i sobą tylko jest zajęta. Czy stan taki nie dowodzi, że dusza jest istotą zupełnie samodzielną, od nikogo niezależną, a przytem duchową i niematerjalną? Czy ciało mogłoby cofnąć się w siebie i wniknąć w siebie, oglądać samo siebie, wiedzieć i myśleć o sobie, myśleć nawet o tych myślach nad sobą?

Przypatrzmy się jeszcze bliżej tej duchowości duszy naszej. Patrzmy, jakie jej myśli są lotne i skrzydlone! One są chyże i szybkie. Jak błyskawica, nawet jak światło samo. Bo podczas gdy promień światła potrzebuje kilku lub kilkudziesięciu lat, żeby odbyć daleką drogę od błyszczących na niebie gwiazd aż do naszej ziemi mimo, że w jednej sekundzie przebiega przestrzeń czterdziestu tysięcy mil, to myśl nasza może te niepojęte przestrzenie w jednym momencie, w oka mgnieniu przebiec. Może biegać bez zmęczenia nie tylko tu na ziemi, od wsi do wsi, od miasta do miasta, gdzie tylko zechce, ale może i ziemię opuścić i zanurzyć się w niezgłębionym morzu błękitnych przestworzy wszechświata, może je przebiegać wzdłuż i wszerz — w głąb i w zwyz — od krańca do krańca. Co więcej, myśl nasza może także granice czasu przekroczyć, może się cofnąć wstecz aż do czasów Chrystusa, do czasów stworzenia świata, stworzenia aniołów, aż do początku wszelkich czasów — aż zgubi się w wieczności. To znów może naprzód wybiegać do dziejów przyszłości, do końca świata — aż znów zgubi się w wieczności. Może biegać i obracać się bez wytchnienia w krainach liczb, idei, ideałów, możliwości, konieczności, nieskończoności, wieczności — nigdzie niema dla niej granic. Czy możliwem by to było, gdyby myśl była wytworem ociążalej materji, t. j. ciała lub mózgu? Przenigdy! A więc dusza nasza nie jest materjalna, nie jest złożona z materjalnych części, lecz jest duchowa, niezłożona i niepodzielna.

Dalej. Nie tylko wszystko, co nas otacza, bezustannie się zmienia, ale i my sami wciąż się zmieniamy. Ciało nasze rośnie, rozwija się, dochodzi do pełni sił, poczem z wolna starzeje się i słabnie. Co więcej, nawet jego wewnętrzna budowa tkanek i komórek wciąż się odnawia, tak iż po dziesięciu mniej więcej latach nic z dawniejszego ciała nie zostaje — podobnie jak płaszcz wciąż łatany, może w końcu nie mieć żadnej części tego sukna, z którego jako nowy był zrobiony. Ale i pod względem duchowym wciąż się zmieniamy. Zmieniamy się z biegiem czasu nasze poglądy, zapatrywania i przekonania; zmieniają się nasze pragnienia, uczucia i upodobania.

A jednak! Wśród tych wszystkich przepływających i zmiennych fal życia wewnętrznego i zewnętrznego jest w nas coś, co stoi jak skała niewzruszona, coś co mówi: „byłem — jestem.“ Cóżże to jest? To nasze „ja“, to dusza nasza. Doświadczenie i najgłębsze przekonanie nam to mówi. Wszak wszyscy o tem dobrze wiemy, że od najwcześniejszej aż do późnej starości nasze „ja“ zawsze jest to samo.

choć tyle zmian dookoła zaszło. Gdyby mózg był źródłem naszych myśli i naszych wspomnień, to pamięć nasza nie mogłaby się rozciągać na całe życie nasze, ale tylko na okres przemiany i odnowienia się ciała i mózgu, a więc tylko na lat mniej więcej dziesięć. Wtenczas i kształcenie się i wszelka nauka nie miała celu, bo po 10 latach, wskutek zaniku pa-

mięci, wszystkie nauki człowiek by zapomniał i od początku swą naukę zaczynaćby musiał. Widzimy jednak, że tak bynajmniej nie jest.

Stąd jasno wynika, że dusza nasza nie jest w swym bycie od ciała zależna, że jest zawsze ta sama, niezmienna, duchowa i niematerialna.

J. K.

SZLACHCIC-CZARNOKSIĘŻNIK.

Umysł ludzki pożąda światła, ale jak często zwo-
dnicze ogniki błędne bierze za blask prawdziwy, który mu dałby poznać prawdę. Są księgi nauki rzetelnej, skąd zaczerpnąć można wiadomości o tajemnicach i prawach natury, ale człowiek pali pragnienie zająrzeć do innych ksiąg, pełnych bezsensownych twierdzeń, pisanych dziwacznie, gdzie każdy inaczej treść rozumie, pociągających zaś przez to właśnie, że są niezrozumiałe i rzekomo wskazują drogę do bogactw niebawalnych, do szczęścia marzonego, do nieśmiertelnego na ziemi żywota, a to przez związek z duchem, który to zdolny jest sprawić.

Czarnoksiężnicy rozczytują się w księgach i posiedli tajemnicę rozmowy i obcowania z duchami. Przed nimi częstokroć stają ci, którzyby radzi z ich pośrednictwem osiągnąć cel namiętnych pragnień swoich. Tak było w wiekach dawnych, kiedy oświata już szerokim rozłaza się strumieniem, w wieku słowa drukowanego i później, aż do bliższych nam czasów — do 18-o stulecia*). Wtedy przyszła odmiana czarnoksiężstwa — spirytyzm, napół z zabawą połączony, rozstrajający zdrowie i umysł ludzi, którzy straciwszy najdroższe sobie istoty, przez seans spirytystyczny pragną z nimi wymienić myśli i pocieszającą odebrać od nich wiadomość z zaświata. Wszystko to złudzenie, kłamstwo, oszustwo, wybieranie grosza. Ale ludzie woła się ludzi, niż wierzyć w prawdę niewzruszoną, woła słuchać bredni, niż nauki rozumnej. Nie dziwny się tedy bardzo, że nasi praszczurówie, panowie możni, monarchowie mądrzy i dzielni udawali się po rady do czarnoksiężników i tak spowinowacanych z nimi astrologów, przepowiadających z biegu gwiazd szczęśny lub marny obrót ich życia. I tylko jedno zdumiewa, że choć wiara wtedy była żywa, silna, namiętna, zabobon jakby obłok ciemny nagle przesłaniał oczy, a na dźwięk pustobrzmiącego zaklęcia czarnoksiężnika-kuglarza ludzie gotowi byli duszę oddać, głusi na surowy głos ostrzegawczy Kościoła i jego przedstawicieli duchownych, i jeszcze jedno jest niepojęte. Prawo państwowe i zwyczaj okrutną karą groziło czarownikom i czarnoksiężnikom, kobiety pławiono gromadnie nieraz (bywały wypadki niewinnego potępienia), czarnoksiężnicy ginęli na stosie, a mimo to pojawiali się nowi, czasem dwór królewski, lub zamek magnacki chronił ich przed ręką kata. I żyli z księgami swemi, narzędziami, i radzono się ich o rzeczach przyszłych przed wyprawą wojenną, przed zaślubinami, w czasie choroby, w swoich sprawach i sprawach państwa.

*) Oprócz czarnej magii uprawiano białą, przyczem zwracano się wówczas do Boga i aniołów. Białą magią zajmował się młodzieńki Władysław Warneńczyk. Dowodzi tego księga zaklęć za pomocą „cudownego kryształu” pozostała po nim. W niej wyrażona jest prośba do Boga „aby posłać w tej godzinie raczył aniołów świętych do objaśnienia i oświecenia tego kryształu, abym wszystkie tego świata najtajniejsze sekrety... przejrzał, którekolwiek w czterech żywiołach (ogniu, wodzie, ziemi, powietrzu) są zawarte”. I ta księga magiczna z Czech dostała się do rąk królewskich. Przechowyują teraz ją w Anglii. Biała zarówno jak czarna magia pełniona jest przez Kościół.

Do najslawniejszych czarnoksiężników na przełomie wieków średnich (stulecie 16-e) należał Jan Faust, Niemiec, współczesny Lutrowi i Melanchtonowi, o którym wieść niesie, że duszę zaprzedał był diabłu, na dowód czego wystawić musiał mu cyrograf. Sławny poeta Goethe Fausta przedstawił jako uczonego, próżno usiłującego dociec początku wszechrzeczy. Mefisto, wywołany przezeń, daruje go młodością, urodą, dostatkiem i naprowadza w jego ręce dziewczę niewinne, Małgosię. Faust umarł w Wirttembergii w r. 1540, ale sławę po nim odziedziczył mistrz czarnoksięski Twardowski z Krakowa. Mówią nawet, że to postać przerobiona z Fausta, niewątpliwie Twardowski żył w Polsce, ale podania o Fauście i innych czarnoksiężnikach z Niemiec i Czech przeszły na niego, tak że stał się sławnym nietylko w kraju, ale i za jego granicami, bo za Dnie-
lud ruski wspominał go w pieśniach.

Twardowski stanu był szlacheckiego z zawodu trudnił się leczeniem, lud lubił go, bo dawał kurować biedotę, musiał jednak i do możnych chadzać jako medyk, bo z czegożby się utrzymywał? Liche miał mieszkanie w grodzie podwawelskim, wśród rupieci uderzała gości wielka księga z kłamrami, znaczona tajemniczo, zachowywała się przez wieki i jeszcze w ostatnim stuleciu przytwierdzona łańcuchami straszyla wszystkich, bano się potęgi diabelskiej, skuszenia. W końcu i do niej śmiałkowicie zajrzeli. Dzieło to, w którym Twardowski się rozczytował, pochodziło z Pragi Czeskiej, coby zaś zawierało, dokładnie nie wiemy. Dość, że z tej księgi obcej Twardowski nauczył się pono jak przywołać czarta, Okolice Krakowa sławne są z gór wapiennych i krzemionek. Dzisiaj służą one w celach przemysłowych, dawniej użytek z nich był wiele mniejszy. Jest miejsce między skałami, teraz zwane katedrą Twardowskiego, tam szlachcic czarnoksiężnik udał się raz nocą i zakreśliwszy krag czarodziejski, zaczął wymawiać słowa zaklęcia na przyjście diabła. Od mogiły Krakusa podniosła się wichura straszna, ale przerwana rychło i przed Twardowskim stanęła postać dziwaczna w trójkątnym kapelusiku, z tyłu majtał się harbajtel, frak zdobił ją dość kusy, pod frakiem kamizela, na nogach pończochy i trzewiki ze sprzączkami. Ubiór niemiecki, wymysł diabła również niemiecki, nasz polski Boruta lub Rokita inaczejby się ubrał.

Zapytał mistrza, czego sobie odeń życzy, Twardowski życzenia wymienia. Będą spełnione, ale warunek: cyrograf z podpisem szlachcica. Za życia wszystko dla mistrza, po śmierci dusza dla piekła, a kresem życia będzie chwila, kiedy się znajdzie w Rzymie i ten szydreczy warunek diabelski wskazuje, że gadka jest niemiecka, protestanckiego pochodzenia.

Zaczęły się postugi diabelskie. Twardowski rozkazuje znieść srebro z Polski w jedno miejsce i piaskiem je przysypać. Gdzie? pod Olkuszem, parę mil od Krakowa. Przez trzy dni i trzy noce



Fausti, czarnoksiężnik niem. z XVI w.



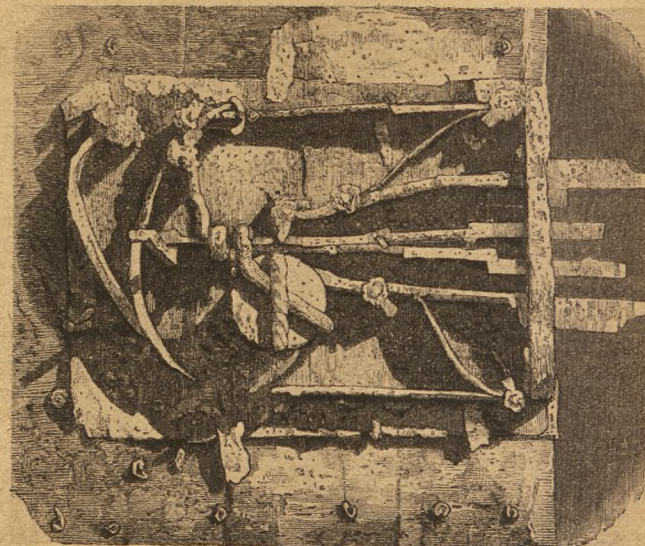
Zwierciadło Twardowskiego.



Mistrz Twardowski. Rys. Witkiewicza.



Księga Twardowskiego w Krakowie. Mal. J. Kossak.



Zamek przy drzwiach Twardowskiego.



Katedra Twardowskiego na Krzemionkach pod Krakowem.

Rys. Kossak.



Cyrograf do podpisu.



Pierwsze życzenie spełnione.



Twardowski czyta swojemu słudze o przyszłości.



Odmłodzenie Twardowskiego.



Podróż do Rzymu.



Twardowski zastraszony dzieckiem przed czartem.



W największym niebezpieczeństwie.



Twardowski na księżycu.

wierny słowu czarł znořil srebro, przez trzy dni i trzy noce sypał piaskiem, a przez dzieł i noc przydeptywał. I tak powstał pokład srebra olkuskiego. Zważyć trzeba, że w tym czasie właśnie, kiedy żył Twardowski, najwięcej wydobywano srebra, a ludzie dziwiąc się, że go tyle jest w jednym miejscu, nieczystej to przypisywali mocy i pomysłowi dobroczyńnego Twardowskiego. Kiedy djabeł oznajmił mu, że zrobił wedle danego zlecenia, szlachcic pochwalił go, ale zażądał oglądania srebra naocznie. Do podróży djabuł kazał wymyślić takiego wierzchowca, coby niósł jak rumak turecki, a nie był ani koniem ani osłem i bez kopyt chodził. Djabeł przyprowadził koguta, na którym Twardowski godzinę zjawił się w Olkuszu. Jest to wymysł rzeski, zdaje się w Czechach żył bowiem czarownik, imieniem Żyto, który miał wózek zaprzężony w koguty.

Potem zachciało się Twardowskiemu widzieć skałę ostrym końcem w dół utkwioną, a szerokim i grubym sterczącą ku górze. I djabeł postawił znaną pod Ojcowem Skałą sokolą czyli Maczugę Herkulesa. Posprzeczali się później między sobą i Twardowski w bójce z czartem wyszedł ze zgruchotaną nogą, nazywano go odtąd „kuternogą”. Podczas choroby wyczytał w księdze, żeby jej nie wstawiać do końca, bo przy ostatniej czytanej kartce umrze. Twardowski z przedostatniej dowiedział się, że człowiek stary może się odmłodzić, ale wprerw musi umrzeć. Zawołał sługę swego Macka i nakazał mu tak zrobić, jak stało w księdze. Maciek mimo że pana kochał, posłusznie wykonał zlecenie, kiedy mistrz umarł, porabiał go na mak, nasmarował maścią, zwłoki włożył do trumny i zakopał. Przez siedm dni, siedm nocy, siedm godzin siedział u mogiły. Wtedy zaczął kopać i o świcie wicko trumny opadło — ukazał się młody, dorodny szlachcic, dawny mistrz Twardowski. Młodość pozwoliła mu żyć i żyć lepiej, ale zawodu medycznego nie porzucił. Pewnego razu przysłało poń poczwórną karetę, dworski jakiś oznajmił, że pan jego chory potrzebuje porady sławnego lekarza. Kiedy się powóz zatrzymał przed jakimś domem, Twardowski z przerażeniem zoczył, że to „Rzym” — karczma (podobno istniała w sandomierskiem), wewnątrz gospody była tylko kobieta z niemowlęciem, dworski zamienił się w djaba i pokazał mu cyrograf: dosyć już wędrówki po świecie, w Rzymie przyszła na mistrza kreska na matyska. Ale spryt Twardowskiego narazie ocalił, chwycił z kołyski dziecko i niem się zastonił. Sprytniejszy jeszcze czar przemawia do ambicji szlachcica: gdzie jest słowo honoru? gdzie werbum nobile? Twardowski szla-

chectwo cenil więcej niż duszę swoją i oddał się djabuł, ale kiedy w podróży zaziemskiej znalazł się sam na sam z djabeł, ostatnia myśl mu zaświtała ratunku: poczał śpiewać godzinki do Matki Boskiej. I to go ocaliło. Nie zstąpił do piekła, ale zawisł w przestworzu i tak zostanie aż do dnia sądnego.

Jedyny, wiarogodny szczegół z życia Twardowskiego zachował pewien historyk pruski. Było to za czasów Zygmunta Augusta. Ciężką dotknięty strata po śmierci Barbary Radziwiłłowny, król nie znalazł już pocieszenia. Katarzyna, trzecia i ostatnia jego żona, Niemka rodem, brzydka była, wdowa i chora na padaczkę. Taką to naraili małżonkę dygnitarze państwowi ostatniemu Jagiellonowi. Król miał do niej obrzydzenie, a rozvodu nie uzyskał. Pocięchą było mu wspomnianie ukochanej Barbary, oglądanie jej sukien, które jako najdroższą chował pamiątkę. Powiedzieli mu dworzanie, że jest w Polsce człowiek, który wywołuje duchy zmarłych, król kazał go zawezwać na zamek. Był to Twardowski. Obiecał królowi wywołać cień zmarłej, ale żądał, by się nie przybliżał nadto, bo widzenie zniknie. Rzeczywiście podobieństwo wywołane sztuką Twardowskiego było tak silne, że Zygmunt zerwał się z krzesła i z wyciągniętymi rękoma podbiegł ku postaci, która się doń uśmiechała, ale w tejże chwili widzenie znikło. Oczywiście, nie był to duch Barbary, ale postać z obrazu zdjęta do latarni czarnoksięskiej, której nie znano wówczas. Twardowski już się nią posługiwał. O podobnym wypadku wywołaniu ludzkich postaci pisze Albrecht Radziwiłł, kanclerz litewski pod r. 1633 i jakiś Angielczyk na służbie cara moskiewskiego pokazywał dworzaninowi jego żołnierzy chodzących z flintą, cały pułk, który mógłby iść na wojnę z Polakami (toczono ją właśnie pod Smoleńskiem).

Twardowski do wywoływania duchów używał zwierciadła, które długi czas znajdowało się w zakrystji kościoła węgrowskiego na Podlasiu. Nie wiemy co się z nim dzieje. Może który czytelnik z Węgrowa doniesie nam, czy jest tam zwierciadło mistrza Twardowskiego. Miało być płaskie, z metalu białego, wysokie cali 22, szerokie 19, w drewniane ramy sprawne, przezroczyście, częściowo strzaskane, podobno dlatego, że ukazywały się w niem postaci drażniące i przekrzywiające widzów, inni znowu twierdzili, że pokazywał się w niem djabeł.

Jeżeli kiedy, to chyba teraz potrzebny nam był choć cień Twardowskiego, żeby wskazać ministrowi skarbu bogactwa ziemi polskiej, a przynajmniej czy warto kopać w Olkuszu, gdzie już od lat wielu robót zaniechano....

TAJEMNICA MISTRZA.

PRZEDZIWNA POWIEŚĆ Z ŻYCIA IMCI PANA TWARDOWSKIEGO.
NAPISAŁ KAZIMIERZ KALINOWSKI.

Wszelkie prawa autorskie zastrzeżone.

I. Gędzba jesieni.

Strugi jesienno deszczu spadały od wielu godzin bez przerwy. Z ołowianego nieba rozpryskiwały się z szumem o dachy domów krakowskich, a wazkie między szaremi murami uliczki zamieniały w coraz większe kałuże.

Wichry listopadowe były przeraźliwie, zawo-
dząc w zaułkach, jak psy z zimna skomlące, A chłód

wzmagał się z każdą godziną, tak, że wreszcie pod wieczór każdy chętnie spieszył do domu, by znaleźć schronienie w suchej izbie.

Pan Twardowski dawno już wrócił od chorej kobiety, do której wzywano go koło południa, a jednak jeszcze niezdążył osuszyć się co chwila, jakby w drzeczach, wstrząsał się z wilgoci, którą cały nasiąkł na dworze.

Zmrok gęsty zaczął napelniać komnatę, więc mistrz zamknął księgę, nad którą śleczął w pobliżu okna i rozcierając skostniałe ręce, podszedł do głębokiego wygodnego krzesa, stojącego w pośrodku izby, tuż naprzeciw komina.

Usiadł, ręce kładąc na poręczach, a nogi wyciągając przed siebie.

Mokre kłody skwierczały w piecu, lecz w tej

chwili właśnie zajęło się nowe, snąc suchsze nieco polano i jasny płomyk wystrzelił pod kominem, rzucając blaski czerwone na blade oblicze doktora i wyzłascając na niem wąs sumiasty.

Trwało to wszelako bardzo krótko. Za chwilę bowiem płomyk przygasł, a drzewo tliło się dalej, sycząc i dymiąc.

Ciemnca zaległa komnatę; ciszę przerywały jedynie harce myszy w głębokich kątach pod stosami rupieci.

Za to z za okien w ciszy wieczornej dolatywały coraz wyraźniej jęki wichury, zagłuszające dzwonienie deszczu.

Wtem z przeraźliwym świstem uchyliła się kwatka wysokiego okna, a wiatr zadął tak mocno w sam środek pokoju, że Twardowski uczuł krople deszczu na sobie.

Ocknąwszy się nagle z zadumy, poruszył się gwałtownie w głębi karła, a z ust jego padły słowa półszeptem wyrzeczone:

— Wszelki duch Pana Boga chwali...

Pótem nogę na nogę założył, trąc żółte butów cholewy jedną o drugą i zawołał głośno:

— Żuż! śpisz pędraku?... Nie słyszysz, jak nam djabeł psoci z dworu...

Na te słowa doktora zruszało się w ciemnym kącie komnaty, poczem wszerek pokoju przesunęło się coś czarnego ku framudze okiennej, gdzie słychać było wyraźnie przysuwanie ławy, a następnie przymykanie otwartego przez wiatr okna.

— Zmیلuj się Żuż — wołał pan Twardowski dalej — rzuć no tam do kominu trochę szczap suchych, bo się strasznie podle pali... Nie żałuj głupiego drewna, a będzie trochę cieplej i widniej... bo tu od tej słoty gorszy strach opada, niż w smoczey jamie pod Wawelem.

Coś małego, a w ciemnicy niewyraźnego, zeskoczyło z ławy pod oknem, przesunęło się w milczeniu obok karła, na którego poręczach bębniły niepokojnie palce Twardowskiego, a za chwilę buchnął ogień jaskrawo pod kominem, rozjaśniając odrazu wnętrze mrocznej komnaty.

Teraz w świetle ogniska można było rozpoznać przed piecem drobną istotę żyjącą, do której odzywał się sławny po Krakowie i dalekiej okolicy mistrz wszelakiej wiedzy lekarskiej.

Przed samem paleniskiem klęczała pokraczna figurka: małe, lecz widocznie bardzo mocne ręce łamały trzeszczące drzazgi i sypały je pod komin między grube, świeżo podłożone polana.

— Nie żałuj, Żuż... bo mnie jeszcze wilgoć trzęsie.

Gdy ogień strzelał już rażno, upewniając, że drwa nie przygasną z powrotem, Żużu dzwignął się z klęczek i zasapany wyprostował się. Atoli postać jego nie o wiele się powiększyła.

Nóżki niby chłopięce, wcale nie wyższe, jak ręka mężczyzny po łokieć, podtrzymywały niekształtną masę ciała, w której trudno było rozróżnić garb na plecach od garbu na piersiach; z pomiędzy nich obu sterczała duża głowa łysawa, z nierówno po czaszce rozrzuconemi kosmykami włosów szpakowatych, w przeciwieństwie do brody dość bujnej koloru nieokreślonego.

Twarz sprawiała wrażenie wysokiej inteligencji i głębokiej powagi. Z pod krzaczastych, szarych brwi świeciły się w ciemności jak u kota, duże zielone oczy, osadzone jak gdyby w głębokich jamach.

Policzki pomarszczone wyglądały niby zwiedle. Czoło porysowane było wzdłuż i w poprzek zmarszczkami.

Końcem czoła garbaty karzeł nie sięgał nawet

do pasa panu Twardowskiemu, gdy ten, stanawszy prosto, wspierał się ręką na czubie jego głowy.

— Cóż się tak w ogień gapisz, pędraku — odezwał się znowu mistrz, wyciągając przed siebie w stronę kominu nogi i końcem buta dotykając milczącego zawzięcie sługę.

Wówczas „pędrak”, który był o kilkanaście lat starszy od swego pana, odwrócił się ku niemu twarzą i błysnąwszy w mroku kocimi źrenicami, wpatrzył się w Twardowskiego uparcie, lecz słowa nie przemówił.

Cisza zaległa na nowo...

Pan i sługa w milczeniu wzrokiem przeszywali się nawzajem. Garbus wpijał palce swych rąk krótkich we własną brodę, gdy Twardowski kurczowo ścisnął rękoma fotelowe poręcze.

Wpatrzni w siebie, wsłuchali się obaj w melancholijną, rozpaczłą muzykę jesieni, wygrywaną za oknami i drzwiami przez wiatr, wyjący w zapałach z ulewą.

Co chwila pod kominem wystrzelały ze zgrzytem i sykiem setki iskier w górę, lub wypelzały języki płomieniste, zmieniając co trochę barwy, a wtedy jakieś cienie, straszne w tych odbłaskach od pieca, tańczyły po ścianach komnaty, przesuwając się pomiędzy mnóstwem zalegających wewnątrz sprzętów. kryły się po kątach lub wysuwały z nich ukradkiem i korowodem tajemniczym krążyły dokoła siedzenia Twardowskiego, by za chwilę, w czarną chmurę spiętrzone, walić się na pokraczną figurę karzełka, który na małych nóżkach dźwigając swoje dwa garby, brał na siebie one z mgieł potwory i pasując się niemo z ich ciężarem na swych barkach, ciskał jeno błyskawice zielonych oczu.

A ile razy coś po dachach i strychach załomotało upiornie, ile razy deszcz zadzwonił niecierpliwie za oknem, a z poza drzwi doleciały przeraźliwe jęki zawodzącego wiatru, kocie źrenice w głębokich oczach karła rozszerzały się dziwnie, a wzrok jego błędził z kąta w kąt bez ustanku, jak gdyby śledził jakieś mary niewidzialne, napełniające mieszkanie Twardowskiego.

— Żuż! — syknął mistrz przez zęby, trzęsąc się cały jak w febrze.

Garbus odwrócił się, wyciągnął cienkie ręce na kupę drewnienek i ujawszy w garść szczepki drobnutko porąbanych, cisnął je znowu w ogień.

Na chwilę rozjaśniło się w komnacie, ale jeszcze nie całkiem dogasły żółte płomienie, gdy naraz rozległ się rzewliwy płacz wichury przejmujący do głębi; Twardowski zerwał się z krzesła, złapał oburącz za głowę i zatykając sobie uszy palcami, jął biegać po izbie.

Taki w nim musiał być niepokój w duszy, że za każdym krokiem obtłukiwał sobie tylko boki po ciemku o wszelakie sprzęty i rychło widząc, że mu się nie uda ani razu spokojnie przejść przez izbę, wrócił na dawne miejsce.

Zanim jeszcze usiadł przed ogniskiem, już karzełka nie było przy piecu.

Nie zwrócił wszakże na to mistrz uwagi, w obiedlonie twarz całą ukrywając i oczy przysłoniwszy powiekami.

Naraz wśród ciszy rozległy się w mieszkaniu dźwięki żałosne.

To już nie wiatr płakał...

To z duszy ludzkiej, zbolelej serdecznie, rwała się w niebo skarga, łzami goręczy nabrzmiąca.

Wysoko, na przymurku rzeźbionego kominika, siedział garbaty karzełek chwiejąc w powietrzu cienkimi nóżkami

Oburącz trzymał przy ustach flet, z którego, zręcznie przebijając po nim palcami, dobywał z wielką umiejętnością tonów rzewliwszych od najsmutniejszego grania za oknami wichury jesiennej.

Długie chwile ciszy wieczornej mijały, a mały człowieczek grać nie przestawał.

Jak gdyby złowrogie nietoperze, rozbijające się w mrokach pod pułapem, tak się o ciasne ściany komnaty tłukła pieśń bez końca z lkającego fletu ciągniona, długa, niby nie kończąca się nigdy powieść o niedoli.

Tak żałośnie opowiadał bóle ludzkie ten wiecznie poniewierany, prześladowany człowieczek, z którego śmiać się umieli wszyscy, a nad którymi nikt nie umiał zapłakać.

Raz za razem strzelił głośno ogień pod kominem, to wiatr rozbił sobie skrzydła za węglem domu, z łoskotem zatrzeszczały belki w nadpsutych wilgocią wiązaniach dachu — a flet, jak gdyby wybijając się z onego chóru głosów słoty jesiennej, kwilił coraz głośniej i głośniej, aż wreszcie pieśń swą przemienił w krzyk przeraźliwy, serce rozdzierający na poły...

— Przestań Żuż! — zawołał Twardowski, odrywając dłonie od oczu i wzrok błędny podnosząc ku siedzącemu na kominku garbuskowi.

Muzyk urwał nagle i cisza zapadła w głąb komnaty, którą ogarnęła ponura ciemnica. ponieważ popiół szarą warstwą przysypywał powoli czerwone węgle w piecu.

I na dworze przycichło wszystko na chwilę, jak gdyby wiatr przycichł się za murem, zanim zacznie na nowo, z większą wściekłością trząść dachami.

— Strasznie grałeś pędraku! — odezwał się głosem wzruszonym pan Twardowski, skrzyżowawszy ręce na piersiach — dłużej słuchać nie mogłem, lubo tak pragnąłem twojej gęźby w ten wieczór ponury.

Na kominku słychać było tylko chrapliwe sapanie pokraki, który sobie fletnię w tej chwili przecyszczał, obcierając ze śliny.

Pan Twardowski westchnął ciężko i założył jedno kolano na drugie, z zadowoleniem stwierdzając, że się przecież przed piecem do reszty osuszył.

— Zaczyna się — mówił powoli, głośno, jak gdyby sam do siebie — zaczyna się straszna jesień z okropną szarugą, wietrzna i żałosna, przed którą nie wiadomo, gdzie się schronić, dokąd uciec, byle wichury zawodzącej nie słyszeć po nocach.

Deszcz od nowa w okna zadzwonił wśród poświstu wściekłego wiatru, który kominem wpadłszy do ogniska, rozdmuchał nagle iskry w popiele, niecąc blaski niespodziewane po kominacie.

— O, jak jęczy na nowo... jak stare rany niezabliźnione w piersi rozdrapuje pazurami!

Przy tych słowach głowa mistrza opadła niżej na piersi i chwiała się miarowo, niby w takt zlatujących się wspomnień w godzinie zadumy.

— Gdybyś ty mógł, kochanie... gdybyś ty potrafił, pędraczk... jakże jabym ciebie uściskał, mój Żuż!

Na kominku karzeł dmuchnął mocniej w czyszczony instrument, aż jękiem odezwała się fletnia...

(Ciąg dalszy nastąpi.)



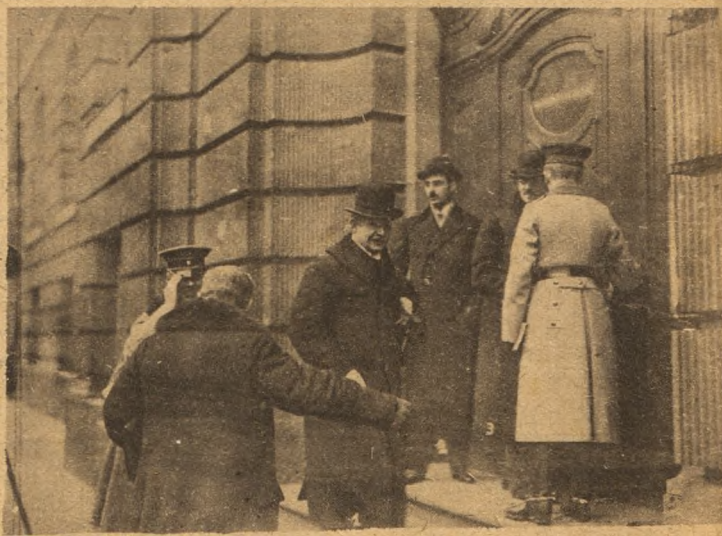
Petlura, ataman ukraiński, niefortunny wódz powstańców na Ukrainie.

Z pamiętnych dni grudniowych roku 1918.

Poznań uroczyście obchodził trzecią rocznicę wyzwolenia Wielkopolski z pod jarzma niemieckiego.



Patrol powstańców poznańskich w dniu 28 grudnia roku 1918 na ulicach Poznania



Delegacja polska w Berlinie (pp. Korfanty, Anders, Kryśiewicz) przed gmachem pruskiego ministerstwa w pierwszych dniach stycznia r. 1919.

Jak budzić w sercu dzieci miłość Boga?

Wobec zepsucia, rozlewającego się od czasu wojny szeroko po świecie, jedyną nadzieją naszą w młodem Polski pokoleniu.

Wyteżyc trzeba wszystkie siły, aby dzieci wychować na uczciwych i wierzących ludzi. Z pewnością każda matka stara się o to, by w sercu dziecka zaszczerpić wiarę, pobożność i bojaźń Bożą. A jednak tak często ku jej przerażeniu dziecko na złe później wchodzi drogi. Dlaczego?

Oto dlatego, że matka często bez zastanowienia, z gniewem i uporem każe drobnej dziecinie mówić długi pacierz wtedy, kiedy ta jest rozbawiona, śpiąca albo głodna. Każe mówić pacierz, kiedy inne dzieci już łyżkami dzwonią, uganiając się za skwarkami, a zapach smacznego śniadania myśli i umysł dziecka na inne wprowadza myśli.

Z katechizmu uczy rzeczy trudnych, które słaby umysł dziecinny nuża i męczy. W kościele szarpie, popycha, każe klęczeć, mówić pacierz jeden po drugim i siedzieć cicho mimo, że starsi się kręcą depcą i gniotą. A roz-

mawiając o Stwórcy Wszechmocnym, nieskończenie Dobrym i Miłosiernym zamiast budzić w serduszkach niewinnych miłość Boga, straszy Nim ustawicznie.

Grzmoty, błyskawice, pioruny. Dziecko blade, drżące tuli się do matki, a ona powiada: »Widzisz, jak się Bozia gniewa!«
Upadł dzieciak roztrzępany, krwawi się zalał i płacze żałośnie, a matka na to: »Masz! Pan Bóg cię skarł.

Czyż się dziwić, że dziecko tak przedstawionego Boga kochać nie może? Mówi biedactwo rano i wieczór pacierz napół z płaczem, często usłucha starszych, lecz dlatego jedynie, że owej zemsty Bożej się boi. Przeraża je nawet ta Bozia w obrazku. Chciałoby, aby Bożę zasłonili, to nie może bawić się swobodnie, — albo żeby Bożę wcale nie było.

Matka więc sprawiła, że oto małeństwo niewinnemu, tak już z Bożą ciężko. A później, gdy częstsze są okazje do grzechu, jakże to takiemu, co niema miłości ku Stwórcy, jeno strach,

jeno ciągła bojaźń kary, jakże takiemu złe. Jak mu ten Bóg miłosierny zawadzał!

Liga wydała:

1) broszurę „O nierozwrotności węzła małżeńskiego“,

napisał ks. Fr. Kwiatkowski T. J., Prof. Seminarjum Duchownego w Poznaniu. Cena 75 mk., z przesyłką i opakowaniem 80 mk.

Ligi Katolickie Parafjalne

otrzymają przy odbiorze ponad 10 egzemplarzy 20 proc. rabatu.

2) II zeszyt Ligi Katolickiej 50 str. Cena dla nieczłonków wraz z przesyłką 100 mk.

Zamówienia przyjmuje

Liga Katolicka, Sekretariat Jeneralny Poznań, Aleje Marcinkowskiego 22, II p., 41 pokój.

Pod powyższym adresem można także kierować przekazy pieniężne.

Większe dary pieniężne zaleca się wpłacać na konto: Banku Związku Spółek Zarobkowych E. 10701.

ODPRAWA PRZYJACIELSKA.

Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!

Raduje mi się serce, bo jakobym słyszał odpowiedź pobożną wielutysięcznej rzeszy czytelników dawnych i nowych: Na wieki wieków! Amen.

Oto tem dawnym ojców naszych słowem pozdrawiam Was, kochani czytelnicy wszyscy i zaraz witam Rok Nowy 1922.

Oby Bóg, Pan świata i wieków pobłogosławił ten rok i pracę jego w Kościele świętym katolickim i drogiej naszej Ojczyźnie. Niech imię Jezusowe zawita do władz, miast, wiosek, domów, rodzin i serc naszych, niech będzie sterem myśli, słów i czynów naszych.

Wiem ja dobrze, że miłe Wam są te moje słowa, będące wyrazem przywiązania do Kościoła, Polski i do Was, kochani rodacy.

Z Wami to pragnę popatrzeć dzisiaj na progu nowego roku na to co nam miniony czas przyniósł. Nie żądajcie odemnie, bym oczy zamknął na zło zeszłoroczne; obowiązek sumienia nakazuje i ono przypomnieć. Chciałbym, żeby na zawsze w morzu przeszłości przepadły chciwość niebezpieczna niesprawiedliwych nawet zysków, chociażby ze szkoda i krzywdą bliźniego połączonych.

Oby rok nowy nie kłał grzechy nieobyczajności, rozpusty i wiarołomstw, a pijaństwo nieszczęśliwe niechby przestało nękać społeczeństwo.

Z żalem myślę i pamiętam o tych próbach wrogów wewnętrznych komunistów i ludzi przez nich otumanionych, aby poderwać przewrotem młode nasze państwo polskie. Ulice niektórych miast naszych były polem tych zamieszek i zaburzeń, a działo się to w myśli oddania usług nieprzyjaciołom naszym niemieckim i bolszewickim. I na wsiach usiłowali wrogowie w najważniejszych chwilach, bo w czasie zasiewów, żniw i wykopok wywołać strajki i to tak zwane czarne, które są poprostu zbrodnią przeciw Bogu i społeczeństwu. Najmniej zrozumiałem na pozór było, że przy tej sposobności napastowano tu i owdzie kapłanów, nie bacząc na ich święcenia, odebrane z rąk Biskupa.

Ze smutkiem patrzę na te długie szeregi kradzieży, roz-

bojów morderstw i słabą mi tylko jest pociechą, że po za granicami Polski jeszcze gorzej się dzieje; pragnąłbym, ażeby u nas najlepiej się wszystko działo.

Z serdeczną boleścią wspominam zbeszczeszczone cmentarze, znieważone przez ludzi-szakali, szukających łupu i zysku nawet w grobach i trumnach.

Trwoga drżeniem przejmuję moje serce, na myśl, że przecież znalazły się judaszowe, szatańskie ręce, nie ludzi a potworów chyba, które nie zawahały się targnąć na to co w cichym Swoim majestacie jest nam najdroższe — na Najświętszy Sakrament, dla złupienia odrobiny kruszcu, placonego przez żydów i innowierców. — O jakże ciężkim stanie się on dzień gniewu pańskiego, gdzie Straszliwego Majestatu sędzia stanie przed zgromadzoną ludzkością.

Dałby Bóg za orędownictwem Ucieczki grzeszników, żeby się nawrócili ci wszyscy, nad którymi aż do chwili pokuty cięży ręka gniewu Bożego.

Mimo wszystko i rok miniony niejedną wykazuje chwilę jasną i szczęśliwą.

17. marca uchwalił Sejm konstytucję; ma ona swoje słabe strony jak każde dzieło ludzkie, ale bądź jak bądź nareszcie ma państwo nasze podstawę praworządności. W dwa dni później odbył się plebiscyt na Śląsku, — lud górnośląski nie zaparł się Matki-Polski, do niej wyciągnął ramiona. Nareszcie po długich targach nastąpił podział Śląska między Polskę a Niemcy; blisko ¼ miliona naszych rodaków zostało w dalszej niewoli, naszą rzeczą jest zgoda, pracą, wytrwaniem doprowadzić, ażeby i oni wrócili na Ojczyznę łono, tymczasem musimy im nieść pamięć i pomoc, a radować się tej części Śląska, która na zawsze się złączyła z Macierzą polską.

Z roku ubiegłego zaznaczyć należy ważną okoliczność: dzięki ukończeniu sprawy Śląska i powołaniu dzielnego p. Michalskiego na ministra skarbu podniosła się nareszcie i ustaliła nasza marka, jeżeli dłać się to będzie dalej, jeżeli przytem cofać się będzie drożyzna, a dla każdego chętnego znajdzie się praca, wtedy dźwigać się będzie chociaż powoli ale stałe dobrobyt kraju. Wszędzie widać zwrot na lepsze: wojsko coraz lepiej się przedstawia, koleje chodzą przeważnie regularnie, szkoły pracują pilnie, jest nadzieja, że z roku na rok Polska w sobie mężnieć będzie.

Choć o tem nie mówi, choć idzie z innymi do kościoła, choć odmawia pacierz, nie znajduje żadnej pociechy. Robi to tylko dlatego, by go Pan Bóg nie skarał.

Nie dziwnego, że gdy mu stanie na drodze wygadany mądrała i tłumaczyć będzie, że Boga niema, czepli się tego z radością — i tak stać się może niedowiarkiem.

Dobra, roztropna matka, zamiast strachu, miłość powinna budzić do Boga w serduszkach dzieciątka. Z małenstwem przy piersi trudno rozprawiać o Bogu, opowiadać mu, że Bóg jest duchem niewidzialnym, że cały świat stworzył, że nim rządzi, że jest naszym Ojcem miłosiernym a sprawiedliwym. Małenkiej dziecinie wystarczy Bozia w obrazku.

Niech matka z pociechą swoją na rękę stawia przed obrazem kwiatki, niech zapala lampkę. Niech dziecko siedzące w kolebce widzi, że i matka klęka, że się modli pokornie; wkrótce i ono pojmie, że Bozia, kiedy tak się do niego zwraca, to pewno Pan dobry.

Jakże chętnie pocałuje obrazek, jeśli matka tego zażąda, jak chętnie pozwoli przeżegnać się niedolęzną jeszcze rączyną! A z czasem, gdy już chodzić zaczyna, samo pójdzie pod obraz, uklęknie, błę będzie się w piersi i żegnać. Jeśli nie śmieją się starsi, robi to ogromnie poważnie. Wtedy można już zacząć z dzieciną króciutki paciorek za ramię, tatusia, za sio-

trzykę, za słoneczko, za kwiatki i t. d. Taką modlitwą wpajać się będzie pojęcie o Opatrzności Bożej i wyrabiać miłość i wdzięczność za otrzymane dary.

W miarę rozwoju dziecka, można z niem mówić coraz dłuższy pacierz, ale nigdy tak długi, by je nużył i niecierpliwiał, i nigdy wtedy, gdy jest ono rozkapryszone, głodne czy rozespane.

Do pacierza dziecko powinno iść z radosną twarzą, umyte, grzeczne, z przekonaniem, że Bozia takie dzieci najwięcej kocha.

Im dziecko starsze, tem więcej trzeba z niem rozmawiać o Bogu, o Chrystusie, umacniać w wierze i miłości; by to jednak robić roztropnie i z pożytkiem, dobra matka powinna w tych świętych sprawach oświecać się sama, aby błędnej nauki nie głosić.

Matka dobra, ile jej tylko czasu starczy, uczyć się powinna wszystkiego. Uczęszczać na zebrania oświatowe, czytać gazety i książki pożyteczne. To jej bardzo ułatwi wychowanie dzieci.

Ozłowiek wierzący, mający miłość Bożą w sercu, im się więcej uczy, tem bardziej poznaje Boga, bardziej korzy się przed Jego mądrością i Majestatem. Wszystko, co nas otacza, dziełem jest Jego Wszechmoocy.

Gdy dziecko pozna Boga przy pomocy pobożnej, światłej i dobrej matki, będzie mu dobrze. I przy pacierzu, i przy zabawie, a w późniejszym wieku przy pracy, w cierpieniu i radości, w złej doli i szczęściu — wszędzie, zawsze i wiecznie..

Ludzie mimo ciągłego, skrytego burzenia i szczyucia pragną ładu, spokoju i pracy; obrazem tego są na ten przykład wybory do rad miejskich w takim Grudziądzu, Toruniu, Bydgoszczy, Inowrocławiu, Ostrowie; wszędzie tam wybrano ludzi rozumnych, chętnych do czynu a unikających swarów i kłótni, wśród których niema miejsca na ład i pracę. W małych miasteczkach, po zapadłych wioszczynach, zdala od oświaty kryje się jeszcze pieniaństwo, warcholstwo i krzykactwo; niby przy wschodzie słońca pierwsze promienie złocą wierzchołki drzew wyniosłych, gdy w zaroślach i zakrzewiu mrok jeszcze panuje i ciemnota.

I tam światło zawita, byle tylko wytrwać w pracy i poczeiwości, a dobroci dużo mieć dla zablakane go brata, dobroci i chleba, bo głód źle radzi i serca zaostża.

Niechże tu przypomnę na całą Polskę jeszcze jedno: sprzęt w zbożu i okopowiznie mieliśmy tamtego roku miejscami bardzo skąpy, niechże rychło więc rozbrzmi hasło oszczędzania, bo ciężki może będziemy mieli przednówek.

Gdy na jasne wskazują strony niepodobna mi przemilczeć wielkiej ofiarności naszego społeczeństwa, gdy chodziło o sprawę Śląska.

Szła młodzież nasza do braci z pomocą i słowem otuchy, życie nieraz i zdrowie kładąc w ofierze, szły ofiary w żywności z Wielkopolski, Pomorza i innych dzielnic Polski, 135 milionów mk. zebrano w wymienionych dwóch dzielnicach. — Komuż nie drogie imię Wojciecha Korfańskiego, już to św. Wojciech prawdziwie patronuje Polsce, boć i drugi Wojciech Trampezyński, pierwszego Sejmu Marszałek świat roztropnością zadziwiał a wytrwałością w służbie ojczyzny.

Odezwali się inwalidzi do społeczeństwa, przypomnieli swoją niemoc i potrzebę, i zebrało się w samej Wielkopolsce 23 milionów dla nich. Pocieszające są takie objawy ofiarności. Jedno mnie tylko zadziwia, a jest to brak zupełny zrozumienia, że i na cele katolickie hojnym być trzeba, nie tylko gdy w kościele tańka krąży po składki, ale i na cele społeczne organizacji katolickich.

Nieraz ludzie zachwalają robotę różnych metodystów i innych szperaczy Pisma św., że to darmo druki rozdają, a gry sportowe urządzają, hojnie obdarzają.

Mój Boże, jaka ciemnota; toć samo im to nie przychodzi, tylko dolary z Ameryki a mareczki z Niemiec płyną, żeby ludzi od sprawy katolickiej odstręczyć i zamęt u nas powiększyć.

Niechby organizacje nasze katolickie, nie daleko szu-

kając, np. Liga Katolicka znalazły poparcie w sercach a setki, tysiące i miliony w kieszeniach, wierzyć mi, że może stokroć lepiej potrafiły by niejedno urządzić.

Czytaliście, niejedni sami mieli szczęście widzieć i słyszeć, takie Zjazdy Katolickie w Płocku, Bydgoszczy i Warszawie, przyznacie, szanowni czytelnicy, że wspaniale i godnie wszystko się odbyło, chociaż żaden zamorski mormonczyk ani inszy mason dolarów na to nie sypał. Zamiast więc nieraz język w niewczesnych sądach i krytykach sobie strzępić, lepiejby taki i owaki jaki zacniejszy paperek na cele katolickie w ofierze złożył; Panu Bogu by z tego była chwala a społeczeństwu, to jest niby nam samym, pożytek.

Gdy jednak mimochodem wspominałem o onych chytach na kilka żon mormonach, metodystach, szperaczach Pisma św. i innych masonach, posłuchajcie, co o tym gantunku w bardzo uczciwej i mądrej gazecie, co się „Rzeczpospolita“ nazywa, w 348 numerze piszą:

„Wystarczy naprzykład być na jednym zgromadzeniu „Metodystów“ „przyjaciół Pisma świętego“ i innych nibyto amerykańskich sekt religijnych, aby się przekonać, że to nie jest nic innego, tylko agitacja komunistyczna, prowadzona przez te same nieraz osobniki i wobec tego samego audytorjum (to jest tych samych słuchaczy), jakie się spotyka u „czystych komunistów, przyczem żydowski element odgrywa wielką rolę.“

Jak już nieraz wspominałem, poznał się lud w byleż Kongresówce już na tych figlach i sztukach.

8 grudnia urządził p. Józef Kret swoją krecią robotę zwołując wielkie zebranie badaczy Pisma św. Słuchacze z początku słuchali cierpliwie, gdy jednak p. Kret zaczął napadać na Kościół i duchowieństwo, wyproszone go po prostu z sali.

W Bogu nadzieja, że niedługo a i u nas poznają się wszyscy na tych farbowanych lisach tych wszystkich, co to niby maślą robotnikowi, gospodarzowi i każdemu z brzegu a niewiedomo komu i za co się wysługują.

Oby Nowy Rok dobrze się rozpoczął, z Bogiem pracę prowadził i bogatym plonem ją uwieńczył.

Niechże tak sprawi Opatrzność Boża. — Pozdrawiam Was — Bogu oddając Wasz

Rafał Łopata.

Dopisek. List p. M. W. z Paryża odebrałem w tej chwili; załatwię polecenia, pieniądze jeszcze nie nadeszły; wiersze p. Romana Z. właśnie odebrałem, odkładam na później, bo jeszcze mam inne niezłatwione a nadesłane dawniej.

Dla świętej sprawy.

Polska stała się przedmiotem działania dwóch kierunków — świadomie czy nieświadomie złączonych sojuszem.

Przewrót rozsiedlił po wsiach i miastach swoich agentów, którzy ideę bolszewizmu, komunizmu, spartakizmu jawnie, a jeszcze więcej skrycie głoszą na zebraniach otwartych i poufnych, w rodzinach, warsztatach, podwórzach, kolejach, jednym słowem wszędzie, rozdzielając tajną literaturę rewolucyjną.

Nie ma u nas prawie organizacji politycznej, gospodarczej, kulturalnej, której nie usiłowałby przewrót przez wsuniętych konfidentów opanować. Dowodem że tak jest, są zaburzenia i zamieszanie po wsiach i miastach, w małej tylko części wywołane rzeczywistym trudnym położeniem gospodarczym, a przeważnie wzniecane jako próby generalnego przewrotu.

Nie ludźmy się chwilowym pozorowanym spokojem, cisza to jest przed burzą, gotową każdej chwili do wybuchu.

Ruch ten wspierają moralnie i pieniężnie miljarowymi kwotami sąsiedzi nasi, między którymi Polska jest niby między młotem a kowadłem.

Tym dążnościom pracuje na rękę inna agitacja — a mianowicie natrętna, dobrze zorganizowana, w bogate środki materialne zaopatrzona, sekciarska propaganda religijna, wyłożona tak, jak nigdy dotąd na ziemiach naszych.

Rozmieszcza ona wszędzie swoich emisariuszy, rozdaje pisemka ulotne, broszury, nawet dzieła, wydaje wspaniałe czasopisma ilustrowane, urządza kursy, udziela zapomogi, stypendja, ogarnia wszystkie stany a mianowicie młodzież miejską wiejską, szkolną i uniwersytecką.

Ruch ten wnosi poważny zamęt religijny, połączone z olbrzymiem wprost niebezpieczeństwem społecznym i politycznym.

Niby w jakichś krajach niecywilizowanych, organizuje się u nas stałe stacje misyj heretyckich i placówki tj. kościoła

narodowego. A środki olbrzymie na to — sypie zagranicą, zamorze, korzystając z naszej niskiej waluty.

Nie od dzisiaj jesteśmy świadomi niebezpieczeństwa, nie od dzisiaj wołamy na alarm, wskazując na konieczność współ-

pracy — wszystkim, dla których myśl katolicka, kościół katolicki nie jest pustym dźwiękiem.

Już w roku 1920 wołaliśmy nie o jałmużnę, ale o ludzi, współpracę i dźwignię na poparcie ruchu katolickiego, z tą świadomością, że służymy nie jednej organizacji, tylko całej sprawie Kościoła, narodu i państwa, oraz rodzin i jednostek.

Przyznajemy, że doznaliśmy poważnej pomocy, która nam umożliwiła wziąć udział w następujących dziełach.

Ze skromnych środków Ligi Katolickiej wydaliśmy dotąd:

- 1) na poparcie organów społecznych 155,100 00 m.
- 2) na poparcie organizacji akademickich 73 300 00 m.
- 3) na cele prasowe 150,000 m.
- 4) na reemigrację 10 000 m.
- 5) na »Pomoc dla Śląska« 244 976 65 marek. Razem 633,376 65 mk.

Uważamy to jednak dopiero za nikły początek działania. Nie wszyscy zrozumieć swój i »sprawę« interes, posłużyli nam radami, krytyką, (nie uchylamy się od tego) ale na wszystko chodzi nam o pomoc utrwalającą naszą pracę, pozwalającą nam stanąć w szranki bojowe z propagandą — zła.

Gdy szereg wielkich i poważnych instytucji finansowych pospieszył z wydatną pomocą, odpowiedział nam jeden z najpotężniejszych zakładów finansowych w Polsce — dobrodusznio, że nie przeszkadza swoim urzędnikom w należeniu do organizacji naszej, jakoby nie rozumiejąc, że instytucje finansowe inną mają możliwość okazania zrozumienia także swego i społecznego interesu, aniżeli jednostka.

Jesteśmy skłonni do podziwiania poczynąć dzieł zagranicznych; wpatrujemy się z czcią w olbrzymie organizacje młodzieży męskiej, żeńskiej, ko-

biet pracujących, robotnicze

Prasa w Japonii.

Nietyle wielka odległość, ile nieprzewyciężona trudność mowy i pisma chińskiego jest powodem, że Europa o prasie Japonii, tej młodej wschodnio-azjatyckiej potęgi, prawie że nie wie. A warto dowiedzieć się niektórych szczegółów o tejże prasie. Japonia posiada dzisiaj niemniej jak 4 000 gazet, i to dzienników, tygodników i miesięczników, jako też dużo czasopism fachowych różnego gatunku. Bardzo wielka jest liczba pism dla młodzieży, przeznaczonych dla dzieci od szóstego roku życia wżwyż aż dla studentów uniwersytetu cesarskiego. Dużo jest czasopism z dziedziny wiedzy, medycyny, ekonomii społecznej, techniki, handlu itd. Kilka miesięczników poświęconych jest poznaniu obcych mow.

W r. 1916 było 3066 gazet japońskich, z czego na stołeczne miasto Tokio przypadało 1201.

W porównaniu z tem posiadał olbrzymi Londyn w tymże roku 759, a wielki Berlin tylko 630 gazet codziennych i tygodników.

Wielkie dzienniki redagowane są przez wpływowych polityków lub pozasłużbowych mężów stanu. Najprzedniejszemi dziennikami Japonii są obecnie: Tokio Mainichi Shimbun (zał. 1869 r.) Chochi Shimbun, Chugai Shogyo Shimpō, Osaka, Asahi Shimbun i inne. Także i w kolonjach jakoteż i na Formozie, Sachalinie, w Mandżurji, Chinach, Hawaj wychodzą gazety japońskie. Cenzura jest ostra, rozciąga się ona przedewszystkiem na rzeczy wojskowe. Pozatym przepuszcza się niejedno śmiałe słowo i uszczypliwą karykaturę.

Gazeta japońska — według naszego pojęcia — zaczyna się ostatnią stroną. Nagłówek nie jest umieszczony u góry w poprzek, lecz w rogu na prawo. Najprzód idzie przez kilka łamów artykuł wstępny, potem telegrafy najświeższe, potem feljton, wiadomości z Europy i Ameryki.

Dużo jeszcze czasu upłynie, zanim Polska co do liczby pism zdoła na równi stanąć z potężnym państwem Wschodzącego słońca. Jeżeli w ostatnich latach także w Polsce a zwłaszcza w dzielnicy naszej wśród szerokich warstw ludu czytelnictwo znacznie wzrosło, to jest to także zasługą Przewodnika Katolickiego, który od 27 lat rozbudzał wszędzie potrzebę czytania, był nauczycielem polskiego czytania i przyzwyczajał do czytania. Jesteśmy mocno przekonani, że właśnie Przewodnik w wielkiej mierze przyczynił się do tej wysokiej liczby czytelników, jaką się dziś szczycą gazety ludowe.

I w obecnych czasach Przewodnik chciałby do domów polskich wprowadzić jak najwięcej politycznych pism dobrych, ale obok nich chce pozostać zawsze jako

nieodstępny doradca, nauczyciel i przyjaciel każdego Polaka-katolika.

W każdym domu polskim niechaj będzie dobra polityczna gazeta katolicka: ale też

w każdym bez wyjątku domu obok tej gazety niech będzie koniecznie

Ciepły Przewodnik Katolicki

W tych zaś domach, gdzie wobec drożyzny trudno zdobyć się na codzienną gazetę, niechaj będzie przynajmniej

Przewodnik Katolicki

W tej myśli prosimy wszystkich o zdobywanie prenu-

meratorów

w Nowym Roku.

interzaty szkolne, uniwersyteckie, kuchnie, sale sportowe, kluby towarzyskie, czytelnia, biblioteki i zdajemy się zapominać, że

stało się to nie tylko ideowym wysiłkiem, ale przede wszystkim poważnym udziałem ludzi i zakładów bogatych czy zamożnych, ofiarami często ludzi małych, ale rozumiejących rzecz.

Podobnie roku zeszłego złożył drobny kupiec na nasze ręce sto tysięcy marek, nie pozwalając nawet na ogłoszenie podziękowania za spełniony jak mówił »prosty obowiązek«.

Ideowych porywów, zrozumienia rzeczy nam także nie brak; gość z Francji, znany społecznik X. Kanonik Desgranges ze szczerym podziwem patrzył na katolickie życie organizacyjne nasze, a nie taił wręcz zdumienia, dowiedziawszy się, jak nikłymi obraca ruch nasz zasobami i środkami.

Nas wstyd pali, gdy patrzymy, jak naród nasz przyzwyczają się do roli żebraka Europy; stamtąd bierze ciepłe ubrania, skądinąd mleko i żywność; spokojnie się patrzy, jak profesorowie warszawscy, strażnicy i pionierzy wiedzy polskiej, karmią się i trują jałmużniczą kuchnią, utrzymywaną za fundusze amerykańskie, jak studenci żyją nie rzadko na utrzymaniu obcej dobroczynności. A za miskę soczewicy trzeba nieraz oddawać przywilej najwyższy człowieka — wolność przekonań religijnych i politycznych. A przecież stać nas jeszcze na tyle, żeby własnym wysiłkiem to wszystko uczynić.

Jeżeli na Wielkopolskę przyjmujemy tylko 10 miliardów marek w obiegu, to $\frac{1}{2}$ procent daniny złożony na poparcie ruchu społecznego katolickiego wyda 50 milionów mk. — w jednej małej dzielnicy, i zaprawdę potrafilibyśmy wtedy stwarzać dzieła zdolne do wielkich czynów a godne naszej miłości i dumy.

Nie bacząc na to, że społeczeństwo nasze ponosi wielkie ciężary, śmiało i z ufnością przystępujemy z prośbą o poważny zasitek dla naszej akcji, wdzięczni za każdy i drobny przyczynek.

Nie dziw, że mówimy o milionach, gdy wydanie jednej broszury kosztuje około $\frac{1}{4}$ miliona, gdy na urządzenie wielkiego kursu społecznego potrzeba nam 2—3 milionów, na wydawnictwo broszur i pism ulotnych około $1\frac{1}{2}$ mil. marek, na stworzenie biblioteki religijnej i filozoficznej dla studentów około $\frac{1}{2}$ miliona marek, na poważne rozbudowanie i rozszerzenie organizacji społecznych 5—6 milionów mk.

Potrzeba nam także współpracy, zgłoszeń ludzi chętnych i dzielnych, gotowych do zakładania i współpracy w placówkach naszych t. j. Ligach Katolickich Parafjalnych.

Śmiało gotowi jesteśmy podjąć walkę z przewrotem i propagandą antykatolicką, o ile społeczeństwo okaże, że rozumie nas, dając swą pracę, dając pieniądze na naszą »sprawę«, która jest sprawą Kościoła i narodu.

Jeżeli do stworzenia potęgi Polski potrzebne nam jest morze, Wilno, Gdańsk i Lwów, tem więcej zależy jej przyszła wielkość od siły i żywotności Kościoła katolickiego w Polsce X. P.

Co słyszać w polityce?

Gwiazdka się udała. Nie zyskał na niej pan minister skarbu, ale sam **skarb** polski. Sejm znaczną większością głosów **uchwalił** pobór daniny. Opozycja zyskała tylko **ulgi** dla drobnych rolników oraz rozkład daniny na dłuższy przeciąg czasu, niż chciał rząd polski. Wstyd doprawdy, że tak się **opierano** uchwaleniu daniny, i to na ławach **socjalistów** i **ludowców**. W końcu nawet socjaliści dali za wygraną, gdy spostrzegli, że ich projekt (stemplowanie pieniędzy — sama robota kosztowałaby państwo miljarde) upada; tylko część ludowców t. zw. Wyzwoleńców do ostatka broniła się przeciw daninie. Nie pomógł przykład starego rabina, wzywającego do zgody, ani przemówienie Niemca za projektem ministra skarbu. Ledwo sejm skończył z daniną, na stół **wyciągnięto** drugą sprawę finansową: oto, aby sejm nie uchwalał wydatków, na które **nie ma** pokrycia. Nowe wydatki postanowione przez sejm, **muszą** jednocześnie być pokrywane z nowych źródeł, ale te sejm **ma wskazać**. Chodzi o to, aby przez lekkomyślne uchwały nie wprowadzać w błąd ludności, że to i to będzie, a tymczasem pokrycie (pieniądze) wymyślić ma pan minister. Na przyszłość każdy wydatek nieprzewidywany

będzie uchwalany z nowym podatkiem. W ten sposób **uniknie** się druku marek. **Dobre** wrażenie **zagranicą** zrobiła jedna i druga uchwała sejmowa, choć nie obeszło się bez **awantury** (socjaliści ministrowi skarbu, oni mają swego kandydata Hermana Diamanda bankiera), boli ich, że taka czarna głowa marnuje się w czerwonym klubie.

Złe wrażenie

zrobiła urzędowa i stanowcza odmowa Niemiec zapłaty raty za **zniszczenie wojenne**. Mówią, że po cichu i naprzód już Lojd Dżorż **zgodził się** na tę odmowę. Przybiegł do niego Brian i zaczęli **radzić**. Będą to targi bolesne dla Francji. Oczywiście Anglik namawiać zacznie kolegę, aby się **ulitował** nad »bankrutem«, który wcale dobrze udaje. Zresztą Lojd Dżorż jest **zadowolony**: układ z Irlandją

doszedł do skutku,

głos de Walery przebrzmiał prawie bez echa, parlament irlandzki i angielski **zatwierdziły** traktat, natomiast trudności wysuwa **provincia** Ulster w północnej Irlandji, która **odrzuca** bezwzględnie myśl jednego »nadparlamentu« dla całej Irlandji i żąda **rozgraniczenia** północy od południa. Co dalej nastąpi — nie tak łatwo wyprorokować. Ale że Lojd Dżorż, niedawny burzyciel wsi i miast irlandzkich **kapituluje** przed tym maleńkim liczebnie narodem, że wszystkie kolonie angielskie **godzą się** na uprawnienie Irlandji narówni z niemi, więc zdaje się, że opozycja Ulsterczyków **nie dokaże** czego chciała, prędzej czy później **ulegnie**.

Obawiać się trzeba, że

ulegnie odrzuceniu

pozwórny układ o **spokój** na oceanie Spokojnym. Właściwie my, Polacy, nazywamy go **Wielkim**, i nie tylko co do obszaru, ale i co do znaczenia. Wielkie tam interesy są **w grze**, a prezydent Harding chciałby je rozwikłać **krótkim**, niejasnym traktatem. **Sprzeciwia się** zatwierdzeniu **senat** amerykański (głos jego większe niż gdziekolwiek izba wyższa istnieje, ma znaczenie). Japończycy bardzo **niechętni** są także. Nadomiar złego, bolszewicy widocznie **zabrać głos** pragną w tej sprawie, bo **wypowiedzieli** wojnę ostatniej »białej« strażnicy we Władywostoku. Sądzą, że Japonja nie przeciwko zajęciu tego portu przez »mężnych« obdartusów Trockiego nie będzie miała. Ano, rychło zobaczymy. Tymczasem

ściany lodowe

na granicy Finlandji zaczynają **pękać** — od huku armat i pocisków. To walka **powstańców** fińskich z Moskalami o kraj, zwany Karelją. Na południu Grecji, jakby niedość im było grzmotów w lecie **uderzyli** na bisurmanów, ale, jak zaznaczają Francuzi, przyjaciele półksiężycy, zostali **odparci**.

Na naszym

»północnym« froncie

wre przed wyborami wileńskimi. Żydzi głosować **nie będą**, tylko socjalistyczny »bund« bierze **udział**. W Kownie podobno **wykryto** skandale w ministerjum spraw zagranicznych, no, słowa różnemi drogami chadza, anużyby o Litwie zapomniano, ale świadstwa pamiętać będą przez lat dziesiątki. Tak się robi **politykę** w Kownie.

Na naszym

»południowym« froncie

zastój. Co to znaczy? Ano ni mniej ni więcej, tylko, że na Górnym Śląsku **nie możemy** dojść do porozumienia z Niemcami. Prawda, są sprawy załatwione jak np. **węglowa**. Natomiast ani kolejowa, ani walutowa, ale zwłaszcza **ochrony narodowości i robotnicza** nie zostały rozstrzygnięte. Dziwi **upór** niemiecki w sprawach robotniczych: panowie z Berlina żądają **pozostawienia** organizacji z centralami w stolicy pruskiej. To znaczy, żeby robotnik śląski **nie dał się** spolszczyć, żeby na uchwałę berlińską **zawieszał** pracę, żeby **wysyłał** część zarobku do niemieckich związków i niemieckich zakładów ubezpieczeniowych.

Sprawy, w których się nie pogodzono, **rozstrzygnie** p. Całander, Szwajcar. Już **nalegają** z Paryża, aby rokowania zakończyć. Włosi szczególnie **tesknią** za swoim makaronem i swojemi osłami. Tak to wyglądał świat polityczny przed Godami.